Z doliny Nubry wróciliśmy do Leh po południu. Połaziliśmy po mieście, kupiliśmy flagi indyjskie z myślą o święcie narodowym Indii, które wypadało następnego dnia, zjedliśmy jakiś dinner i poszliśmy spać. O świcie 15. sierpnia ruszyliśmy w drogę, by dojechać do Jeziora Pangong oddalonego od Leh jakieś 120 kilometrów. Ale najpierw pojechaliśmy do klasztoru Thikse na poranną buddyjską pudźę. Dwaj mnisi, odziani w bordowe szaty i ze strojnie przyozdobionymi głowami, dmąc w trąby wykonane z wielkich muszli z dachu monastyru, dali światu sygnał o rozpoczynającej się ceremonii. Wszyscy buddyści i inni zainteresowani pudźą porozsiadali się w kucki pod ścianami świątyni; mnisi schodzili się powoli a każdy u wejścia trzykrotnie padał na kolana, powtarzając BUDDA, DHAMMA, SANGHA… potem zajmowali swoje miejsca i zaczynali śpiewnie powtarzać mantry, uderzając w gongi, „talerze" i dmąc w pięknie ozdobione trąby. W trakcie pudży mnisi zjedli też tradycyjny posiłek, czyli zmieszaną ze słabą herbatą z mlekiem surową mąkę. Ceremonia trwała godzinę…

Z niekłamanym zainteresowaniem przeglądałam się ludziom, którzy jak my przybyli do świątyni. Jedni robili zdjęcia, inni chyba medytowali, inni drzemali… zresztą obserwować mnichów to też ciekawa historia, zwłaszcza tych młodszych i uczniów szkół przyklasztornych… bo ci najmłodsi powtarzali mantry a jednocześnie dawali sobie kuksańce, albo opowiadali sobie coś, zaśmiewając do rozpuku. A jeden z ich starszych kolegów po prostu grzebał sobie w komórce i oglądał jakieś zdjęcia. Zauważył, że go namierzyłam, speszył się i wyjątkowo głośno potem śpiewał mantry. A my, po pudży, zjedliśmy szybkie śniadanie na parkingu pod klasztorem (2 jaja+dwa tosty/głowę) i ruszyliśmy w kierunku jeziora Pangong.

Jadąc obserwowaliśmy mijane wsie, miasteczka i inne pojazdy udekorowane barwami Indii. Bo był to w końcu dzień świąteczny… kiedy zatrzymaliśmy się na herbatę i wc, w restauracji, do której weszliśmy włączony był telewizor na pełny regulator i transmisja państwowych obchodów święta niepodległości z udziałem władz Indii. A kiedy rozbrzmiał hymn, stanęliśmy na baczność wraz z lokalsami.

Nad Pangong dojechaliśmy około 15tej i zanim wynajęliśmy pokoje, korzystając z dobrego światła, robiliśmy zdjęcia na tle mieniących się różnymi odcieniami niebieskiego wód Pangongu.

To wielkie, liczące ponad sto km długości jezioro, rozdzielone granicą między Indie i Chiny, zniewala urodą. Nas uwiodło totalnie. W wodzie odbijały się góry Karakorum a nad głowami mieliśmy błękitne niebo gdzieniegdzie upstrzone śnieżnobiałymi chmurkami. Do zdjęć pozowaliśmy w pojedynkę, w grupach i całą ekipą. Osobno dziewczyny – przyzwoicie i chłopcy, którzy do swojego zdjęcia zdjęli koszulki i prężyli mięśnie. Jedynie męska część „opieki" pozostała w ubraniu, chyba nie chcąc robić konkurencji nastolatkom. Potem spacerowaliśmy brzegiem jeziora, czekając na zachód słońca, który okazał się równie spektakularny jak wschód słońca nad Pangongiem dnia następnego. W nocy było zimno. Po raz pierwszy zapakowałam się w śpiwór i przykryłam grubymi pledami, które były w wynajętym pokoju. Rano natomiast ruszyliśmy w stronę Leh z zamiarem dotarcia do monastyru w Hemis i szkoły przyklasztornej, w której (jak już wcześniej) chcieliśmy zostawić książki, kredki, długopisy i inne przybory potrzebne uczniom. Hemis to największy i

najbogatszy klasztor w Ladakhu, wybudowany w 1630 roku a ufundowany przez króla Sengge Namgjala dla szkoły w Drukpa. To, co kojarzy się najbardziej z Hemis to czerwone czapki noszone przez zamieszkujacych monastyr mnichów i zwyczaj wywieszania wielkiej tangki co 12 lat z okazji święta ku czci guru Padmasambhawy.

W drodze zatrzymaliśmy się na szczególną sesję zdjęciową ze… świstakami. W okolicy Pangongu jest ich wiele, ale dwa wyjątkowe. Nadaliśmy im imiona bohaterów filmu „O dwóch takich co ukradli księżyc" – Jacek i Placek. Świstaki były bowiem fizycznie jak dwie krople wody (tłuściutkie i okrąglutkie, z mięciutkim futerkiem), choć zachowywały się odmiennie – Jacek był bardziej zadziorny i płochliwy, a Placek… jak poległ na kamieniu tak leżał i wygrzewał futerko. Obaj pozwalali gapiom zbliżyć się do siebie, ale bez przesady, jakby mówili „Zdjęcie? Ok, ale łapy przy sobie".

Do klasztoru przyjechaliśmy jednak później niż zakładaliśmy, trochę czasu zabrało nam też jego zwiedzanie i odwiedziny w szkole stanęły pod znakiem zapytania. Ale Kumar szybko wpadł na pomysł, że jest jeszcze jedna szkoła – dla dzieci nomadów, której może nawet bardziej przydadzą się nasze gifty; szkoła, której kadra i uczniowie dziesięć lat wcześniej pomogli uczestnikom 13tej wyprawy, kiedy ci mieli wypadek jadąc busikiem… Znad Pangongu wróciliśmy do Leh spakować ostatecznie nasze bagaże i wyspać się przed rozłożoną na kilka dni drogą powrotną do Manali, a później do Agry.